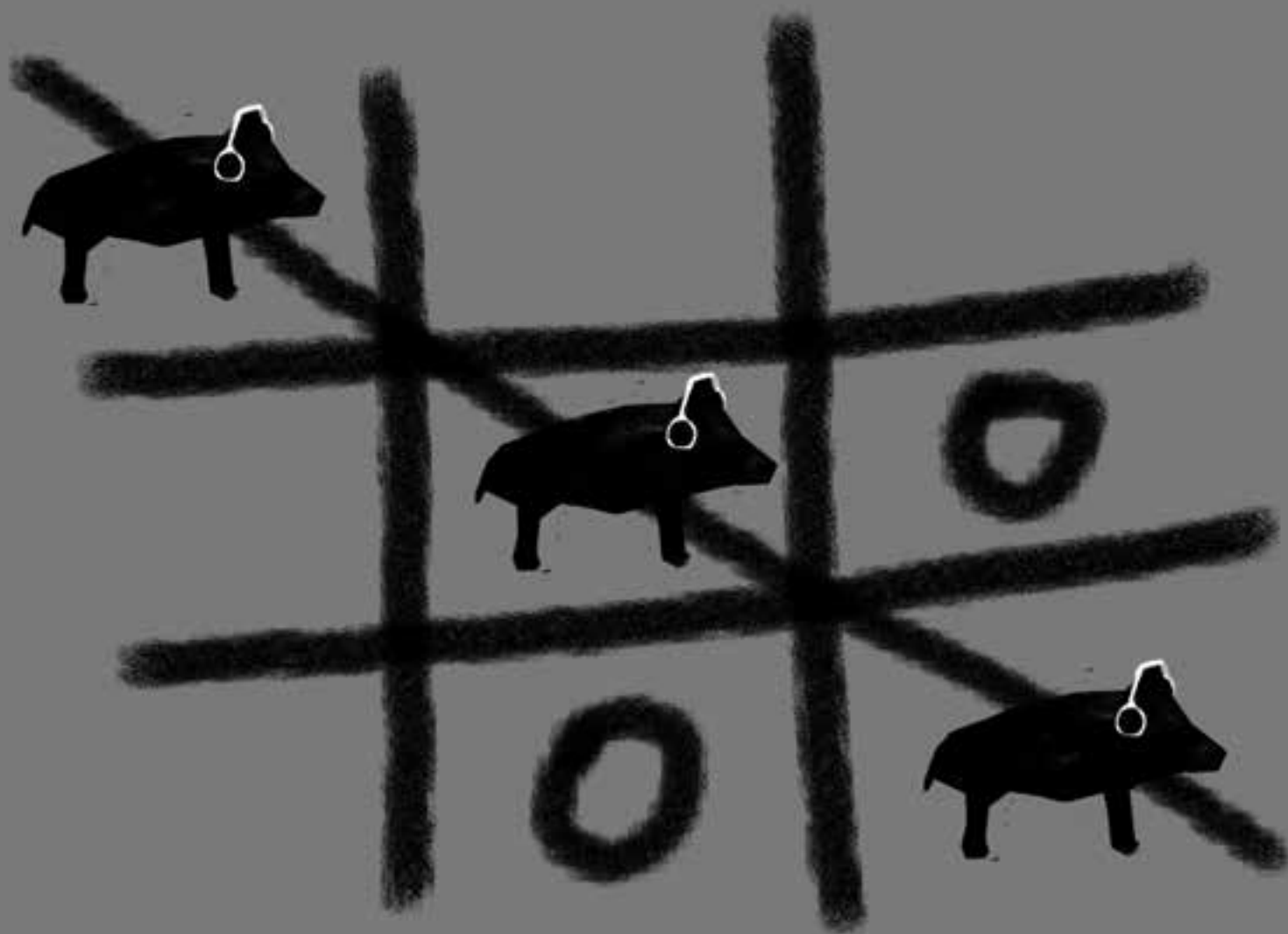


45. FAMA

MIEDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS
ŚWINOUJŚCIE 17-29 VIII 2015

TORPEDA LUDU



W TORPEDZIE:

- głupie chłopy
- fotosynteza
- ludzie jako źródło cierpień

Głupie chłopy

Ja
ją wykułem.
Ale jak tylko pomyślała,
że gdzieś niebo musi stykać się z ziemią
to poszła.

I. Rozczarowanie

zbliżenie: Pan, papieros, us(Ta!-od tyłu, jej włosy, plecy)

dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym
dym dym miała mi gotować obiady dym dym
dym dym a, dym dym
dym dym że od kobiet dym dym
dym dym wymaga się mniej dym dym
dym dym to bym się nie wkurzał jakby były słone dym dym
dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym dym

II. Wspomnienia

zbliżenie: lustro, stopy zwijające się z zimna, oczy Pani;
a w nich to co czasem się pojawia kiedy wiesz, że musisz już wstać a tu
okazuje się, że masz jeszcze 5 minut

„Jestem dla tych,
którzy łamią szkła na moich plecach”
- mawiała?

i	nie wiem	m
d	nie pamiętam	ę
e	być może	s
a	nie słuchałem	k
ł		i

III. Błędy

zbliżenie: miejsce do odczytywania; dwa fotele tyłem do
siebie, reszta to kwestia gustu

Gdy jej nie czułem, czytywałem jej Szymborską,
a ona tylko zaciskała pięści i cedziła przez zęby
Że tego nie robi się nawet ko Tu.
I jeszcze,
że cośtam cośtam cośtam.

IV. Sny

zbliżenie: proces wytwarzania papieru, jazda figurowa na lodzie, telewizor a w nim Pani z Chin odczytująca niezrozumiałe informacje.

I te nieszczęsne kartki na których zapisywała swoje sny:

„Moje oczy istnieją
wiem
smutne serenady ogrzewają czas
nie Opuszczę ręki
karmię lwa
to Gra dla rośtych
posprzątam dla początku
i wewnętrznej rozważi
s t w a r z a m chwile
smukłe minuty
opowieści i ich koniec
uderz mnie i jednocześnie okryj
tak, jestem,
bywam obłąkana.”

Więc wycisnąłem czas na jej policzkach.

● Anna Radecka

Haiku

Zimne kwiaty w oknie
Szary smak
Już późno kochanie

•

Biały ślad pędzla
Szpachelka niebieska
Nowy wspaniały świat

•

Mówię do ciebie
Tak, tak, nie, nie,
Swoboda tworzenia

•

Spragniona miłości
Ćma topocze
Czarno-biały film

● Mateusz Beźnic

Fotosynteza

prosiłem cię o coś a ty jak zwykle narobiłaś mi teraz dużo bałaganu jeśli nie pasuje ci tak to muszę zrobić teraz coś bardzo brzydkiego po raz ostatni proszę zwróć mi to jeśli nie to podam w szpitalu twoje dane tak chcą a oni cię obciążą wszystkimi kwotami a są nie małe proszę to ważne dla mnie

Wszystko zaczęło się od tej wiadomości.

Coś tli się w głowie, majaczy. Coś by chciało wyjść. Nie pomogę. Ile pajęczyn po ścianach. Ja nie pomogę. Przykro mi. Okno piwniczne zarośnięte pajęczyną. Nie wiadomo, dzień czy noc. Nie wiadomo, lato czy już jesień. Choć powietrze jakieś takie chłodne. I od ziemi ciągnie. Jak długo bez kwitł w tym roku? Kto oczyścił staw? Mieli ściąć brzozę, taką co przy wjeździe rosta. Nic nie zrobione, tak mi się zdaje. Nie słyszałem żadnych odgłosów. Obowiązków swoich nikt nie wypełnia. A był ktoś od komina? Mieli oczyścić. Marne czekanie. Kominek. Co to za pomysł, żeby kominek w piwnicy robić, widział ktoś kiedyś coś takiego? Ja nie. Próbowalem ostatnio swoimi butami napalić, ale nie. Nie szło. Zresztą za mało benzyny uezierałem. To wszystko takie jaskrawe się robi i wyraźne, wszystko bardziej żywe niż ja. Naznosili tu starych krzesel jeszcze przed ojca wyjazdem. Takie rzędy w domu zaprowadziła. Te krzesła to zaraz zielone pączki puszcza i może gałęzie nawet. Kto wie. Zakurzone to wszystko. I pleśń. Ciekawe. Pamiętam jak matka powiedziała mi kiedyś: kamienie mają duszę. Co to mogło znaczyć, się zastanawiałem. To chyba początek choroby. Bo powtarzała to wiele razy. I zbierała te kamienie. W swojej sypialni. Wykroje pończoch z magazynu, ja nie wiem. Chciała szyć je, czy co. Zbierała to, te wykroje zbierała. Po co? Ja nie pytałem. Już byłem dorosły i nie chciało mi się jej słuchać. Dziwactwa matki – tak pomyślałem. Ona potem zaczęła szyć, ale koce. Ja część spaliłem kiedyś, ale było. Jak szalone się zajęty. Bo jej wiecznie zimno było. Może i dom był zimny, bo kto miał palić? Ja? Jak miałem dobre dni, to paliłem. A jak nie, to lałem na strych. Tam zdjęcia stare zbierałem. Zawsze szukałem ojca na nich. Tam ciepło było. Mi ciepło było. Ona rządziła dołem, to i tam nie zaglądała. A coś jej nogi dokuczały. Jakoś trzeba sobie radzić. Zachodzę w głowę, po co ten kominek tu? I szczypce, i szufla, i pogrzbacz, o i miotła nawet. Mógłbym ją tu spalić. Gdybym chciał. I by się nikt nie dowiedział.

Zawsze śpię tu, na tej otomanie. Ojciec podobno ją lubił. Choć kto wie, czy nie gada tak, żeby mi miło było. Ha. Otomana, otomana. Dziwna rzecz. To wszystko takie miękkie, takie lepkie. Sam nie wiem. Są dni, że nic nie widzę. Sam słuch wtedy działa. I też tam się nic nie dzieje. To jak już nic nie słyszę i myślę, że wszystko zamarło, to się wniebogłosy drę. Albo wyję, lubię wyć. Tak śmierzdi to. Ja czasem nie widzę i się zastanawiam, skąd i co tak śmierzdi. I myślę wtedy, co się tam na górze dzieje. Ale mam też już swoje pasje tu. Mam, tak, mam. Jest takie krzesło. Ładne. Pamiętam je jeszcze z dzieciństwa. A mam pamięć dobrą. I ono takie ma rzeźbione nóżki. To się bawię nimi. Robię odlewy. Na początku był tu gips. Teraz to już różnie. Chyba cały zużyłem. Raz plastelinę znalazłem, ale to mnie nie cieszyło. Najgorzej jak zapachy czuć z góry. O, wtedy to już nic nie mogę. Tylko wyję. Chciaż to pomaga. To ulga, takie wycie. Bo milczenie jest niebezpieczne. Teraz też nie chce mi się rozmawiać, ale mówię, żeby nie zapomnieć. Dla treningu. Czasem też rymowanki stare sobie przypominam, albo układam nowe. Tak można w nieskończoność. O, na przykład taką pamiętam:

Pani Zo, Zo, Zo. Pani Sia, Sia, Sia
Pani Zo, pani Sia, pani Zosia męża ma.
A ten mąż, mąż, mąż, pije wciąż, wciąż, wciąż.

Trochę wina, trochę wódki i od tego jest malutki. Przepił do, do, dom, przepił wó wó wóz,
przepił dom, przepił wóz, żonę na patelni wioził.

O, coś takiego pamiętam. I tak sobie mówię. Tak sobie mówię, jak nie wyję. Jak jabłoń pachniała, jak kwitła. Chyba zeszłego roku. Uduśić się można było z radości. Z radości, że tam żyje wszystko i kwitnie. Że się kula nie zatrzymała, że świat się nie kończy. Czy co tam innego, złego. Ja się martwię trochę o to. Jak nie wyję i nie mówię rymowanek, to i czas na zmartwienia mam. Czym mam się martwić, jak nie światem? Te peonie to ja kiedyś matce zasadziłem. Na urodziny. Stoi tu taki kufer, nie lubię go. Tam buty trzyma. W czym ona teraz chodzi? To znaczy, trzymała. Raz je wszystkie benzyną oblałem, ale Joasia mi zapalek nie przyniosła. I zapomniałem. I teraz pewnie też gniją. Gdzie jest Joasia? Ona ma przecież

tylko 20 lat, nie poradzi sobie. Otomana ważna rzecz, co zrobić. Ja nie wiem, dlaczego tu jestem. Nie wiem. Joanna to szacunek, Joasia to miłość. A matka? To nienawiść. A może śmierć.

Papierosy są wilgotne, nie chcą się palić. Śmierć. Słowo ładne jak kwiatek. Trochę jak oset, albo też jak trujący grzyb. Matka to nienawiść, mama to uwielbienie. Uwielbienie to choroba. Choroba to kara. Kara to gniew. Gniew to brak miłości. Gdzie jest matka? Ojciec zbierał bębny od pralek, i to ją wykończyło. Dziwactwa, choroby. Tajemnice. Bębny od pralek. Kombinerki, palniki do lutowania, paczka do murowania, kielnia do gładzenia. Wszędzie to. Wałek do malowania, łom i gwoździe. Śrubokręty. Zamiast mniej to więcej. Cały czas więcej i więcej. Były i stożkowe i kuliste, soczewkowe nawet. I końcówki różne miały. I coraz więcej. I on ją tym drażnił, bo szedł do tego garażu i dłubał i dłubał, a peonii posadzić kto nie miał. Wszędzie gwoździe. Ja potem musiałem dopiero sadzić. Kto mieszka teraz na górze? Kto sadi peonie w tym ogrodzie?

Ojciec tam mieszka, z imadłem i kluczami, bo kocha metal. I jej nie ma, to może dłubać. Tam jest ojciec. A co to znaczy. Co ojciec znaczy? Co? Kto? On nowe dziecko podobno ma. Z inną kobietą, tak mówili na wsi, jeszcze jak tu nie trafiłem. To prawda czy nie? Ile to dziecko ma lat? Kto mu je dał? Ma nowego syna? Co z matką? Jak to znosi? Ile to dziecko ma lat? Ojciec ma inne dziecko? To bzdura, on nie żyje od 30 lat, ja go nigdy nie poznałem. Zmarł jak miałem rok. Nie pamiętam go. Nie dam sobie wmówić.

W tym roku lato będzie deszczowe? Boję się, że plony pogniją. Tyle posadziliśmy. Żmud taki. Ręce mam poranione. Stopy bolą. Twarz czerstwa. Wczoraj był taki jasny dzień. Widziałem kontury obłoków. A może to było zwierciadło wody? Powietrze było przejrzyste. Miałem dobry dzień. Na górze cisza. Myślałem, że może nie żyje. Potem bardzo szumiało. Nie mogę przypomnieć sobie twarzy Joanny. Chyba miała łagodne spojrzenie, dziecinne nawet. Jest wieczór czy rano? Miałeś sad. Co roku mieliście tyle jabłek, że nikt nie nadążał ich zbierać. I gnily, całe kupy jabłek. Cierpko – kwaśny zapach. Macie jeszcze ten sad? Twoja mama przestrzegająca, żeby nie wychodzić na skraj. Bo lumpy i dziwadła.

I mary, i strzygi. I bezdomni. I zło świata. I dzia-
dy, i czarownice. Nawet tak daleko nie trzeba
było iść, aby to się stało. Czy kamienie mają
duszę? Nigdy nie spytałem o to twojej mamy.
A pewnie wie. Takie jest hasło: czy kamienie
mają duszę. Zapamiętaj raz na zawsze. Ile razy
mam ci powtarzać? Miałem tu kiedyś radio.
Słuchałem całymi dniami. Różnych rzeczy.
Kobiecie głosy, ładne. Zastanawiałem się, ja-
kie piersi mają te kobiety. Skoro głosy takie
ładne, takie miłe głosy. Aktorki często coś
mówiły. Grały różne sceny. Ja tak cicho tego
słuchałem. Jedna miała głos znajomy, zniełu-
biany. To jej unikałem. To były dobre chwile.
Mogłem zły głos wyłączyć. A resztę wymy-
ślić. I wymyślałem na nowo świat z tymi ko-
bietami. Razem poranek, południe, popołud-
nie, wieczór i noc. Głosy robią dobrze czło-
wiekowi. Włączyłbym radio i teraz. Może na-
dają jakąś muzykę. Ale nie mam już tu tego ra-
dia. Ktoś zabrał, jak spałem. Każdy głos z tego
radia to demaskacja, fałsz. Jakieś słowa pełne
grymasów. To ja już wolę wycie. Gdzie nastą-
piło pęknięcie? Kto peonie sadzi? Nie mogę
narzekać na tę sytuację, chociaż mogłoby być
lepiej. Tu jest całkiem miło. Jaki to miły dzień.
Peonie zakwitły pięknie. Tyle pamiętam. Jak
pachniały. Jak nigdy przedtem i nigdy potem.
Co to był za zapach. A tutaj śmierdzi. Cały
czas. Ale nie odejdę. Ile tu jest ciekawych rze-
czy. Ja sobie tylko dłubię. Przecież nikomu nie
szkodzę. Ile tu jest cudnie. Naszyjniki, klip-
sy, medaliony różne. Wszystko piękne. Jak
moja matka kiedyś. Tak dawno już zmarła.
I bransoletki, i sygnety, obrączki. O, a tu przy-
bory do paznokci. Moja matka była pedantką,
jak obcinała paznokcie to do krwi, taka do-
kładna była. Ale potem ładnie kamuflowała.
A to nie powiem, bo w tym była mistrzynią.
W kamuflażu. Pędzelki do pudru, gąbki, zalot-
ka. Cudowna czerwona szminka, jak krew.
Flakonik perfum, cudownie śmierdzących
zgniłym mięsem. Co z peoniami? Grzebie-
nie do fryzur różnych. A co, gdy się nosi perukę?
Klamerki i klipsy do włosów, i szczotki też.
Znów pada. Maciejka może ładnie wyrosnąć,
to zaduch będzie. Pędzel do golenia. To jesz-
cze ojca. Nowa żona na pewno kupiła mu
nowy. Nawet lornetka teatralna. Zabawne.
Ojciec chciał matkę lepiej widzieć. Okulary.
Parasol. Może przyda się na dzisiejszą noc, ma
padać. Walizka skórzana. Elegancka. Ciekawe,
w co spakował się ojciec, jak odchodził.
Zawsze ciekawił mnie jego akcent. Muszę te-
raz zająć się swoimi pozostałymi gośćmi.
A może do nowego życia nic nie trzeba? Ja za-
wsze lubiłem teczkę. Liście trzeba zgrabić. Je-
stem teraz naprawdę szczęśliwy. Właśnie tu
na strychu. Ile tu kurzu. Brzydki i zakurzony

plusz. Znów to samo. Ale na zewnątrz na pew-
no jest cudowny dzień. Wiem to. Czuję. Bied-
ne peonie, gniją beze mnie. Co zrobić, taki los.

Radia już nie ma, ktoś zabrał. Kto? Gdzie
otomaną? Ktoś mnie okradł. A więc po to za-
prosił mnie na strych. Bal się skończył. Kolej-
ny gorzki zawód. Jedyne, co pozostało, to me-
nażeria. Owady zbierane całe życie. Czasami
samoloty nie mogą wylądować z powodu gę-
stej mgły. Wiedział Pan o tym? Trochę dziś za-
spiałem i dlatego taki bałagan. Moje krzesło
zniknęło. Ale przynajmniej światło włączyli.
Mam dwie modliszki, trzy ważki, konika po-
lnego. O, jest i chrabąszcz. Szerszeń, trzmieł,
osa. Ktoś zabrał otomanę. Nie mogę iść stąd
teraz. Przyjęcie jeszcze trwa. A to moje uro-
dziny. Nielegancko wychodzić z urodzin.
Wtedy zdarzył się brak fotosyntezy. Pan wie,
co to fotosynteza? Brak energii i za dużo dwu-
tlenku węgla. Chyba tak to szło. Można dopy-
tać Bruna. Na pewno jest teraz w ogrodzie. To
on dba o peonie. Jeszcze mam cykadę, kilka
biedronek, termita. Kiedyś mieszkaliśmy
w drewnianym domu. Tam dopiero było piękn-
ie. Mieliśmy pewne problemy, ale w końcu
nam się udało. Kiedyś też zbierałem ślimaki.
Długo spałem, to prawda. Coś bardzo szumi.
To może młyn. Zrobiłem komuś nieświadomie
krzywdę, Pan wie? I ktoś ją wziął na siebie.
A teraz ten ktoś umiera. I będzie spokój. Ten
ktoś był bardzo chory. A ludzie chorzy często
umierają. Tak jest skonstruowany ten świat.
Pan pewnie wie. Muszę wyjechać przed
wschodem słońca. Wtedy dopadają mnie sil-
ne dreszcze. Dziś wieczorem idziemy do kina.
Więc mnie nie będzie. Ale dziękuję za troskę.
To się stało tak dawno temu. Już nic nie pa-
miętam. Proszę spytać ojca, może jeszcze jest
we wsi. Zdaje mi się, że w dzisiejszych czasach
świat jest zupełnie inny niż był. Chyba prze-
spiałem pół roku. Czy to już jesień? Słyszę
szum młyna. I coś jeszcze, nie wiem, co. Nosi-
my w sobie rzadko ujawnianą przed kimś kra-
wędz. Proszę spytać na górze. To będzie piękn-
y dzień. Mimo wszystko. To szum młyna
i płacz kobiety. Kto posadzi peonie w tym
roku? Ja cię proszę, daj słowo, przysięgnij, za-
gwarantuj mi, zapewnij mnie, przyszeknij, zo-
bowiąz się, że zasadzisz peonie. Dowiem się,
jeśli tego nie zrobisz.

Często groziłem Joannie. Choć równie czę-
sto obiecywałem jej różne rzeczy. Warta była
obiecywania. Czasem trochę koloryzowałem,
dla dołków w policzkach, tylko dla nich. A też
nie często się uśmiechała. Sam nie wiem, dla-
czego. Bo myśmy rzadko rozmawiali. Ona czę-
ściej przychodziła któreś wiosny. Na począt-
ku matce w ogrodzie pomagała. Grzeczną

i cicha. I pracowita. Ale ja nawet nie odezwa-
łem się do niej. Podobno przychodziła co dru-
gi dzień. Ja ledwie raz na miesiąc ją widziałem.
Co innego w głowie mi wtedy siedziało. Ale
któregoś dnia zebrała jabłko i do kuchni wnio-
sła. I rączka od kosza urwała się. Matka była
zła i nie zapłaciła jej za ten dzień. Taki miała
kaprys. Ale coś mi powiedziało, że dziewczyna
jest piękna w tej swojej łagodności. Odpro-
wadziłem ją na autobus do pobliskiej wsi.
I wtedy zacząłem bacznie ją obserwować.
Przychodziła jakby przypadkiem, bo matka
raczej jej nie wydzwaniała. Ja siadałem przy
dużym oknie z notatkami różnymi. A ona
w ogrodzie. Zazwyczaj nachylona. Dziwnie
gibka. Czy miała 14 lat czy 24, nie umiem po-
wiedzieć. Pamiętam, że kiedyś usiadła na
murku i zaczęła mówić do siebie. A okno
otwarte było. I zostało tylko to w głowie,
wszystko inne przygasło. Wspomnienia bez
sensu. Myślę, że ten jeden jedyny szczegół pa-
miętam tak samo. Et in Arcadia ego. A my
tam. Czy bruk opryskany widzisz? Czy kosze
oliwek i cytryn? A naręcza ciemnych wino-
gron? Nie. To nie to miejsce. Zdrapane, chro-
powate, wybebeszone, chore. Ziemia jałowa
i usychające kobiety. Z tęsknoty mają dokto-
rat. A może to twoje podwórko, a może Ne-
apol, choć gdy zechcesz mroczny przedmiot
pożądania. Poszukaj, poszukaj w sobie. Neu-
rony pracują szybko, oni mówią tak wolno.
Miarowe otwieranie ust. Asocjacje, asocjacje.
Pogrzeb odbędzie się. Zapraszamy. Z bieli
szum wzmaga się, powoli i gasi. Wilgotne dło-
nie, jej włosy soczyste. To tylko peruka. Pęcz-
nieje, ta dziwna kobieta pęcznieje. Rozdyma
się, unosi po mieście zakazanym. Jaka piękna
potylicca pod tą peruką. Musisz zmienić mie-
jsce na widowni, żeby lepiej ją widzieć. Prze-
praszam bardzo, widowni tu nie ma. I zastana-
wiasz się, kto komu monitorem i kto kogo
ogłada. Skóra cierpnie. Bezwolna i apatyczna,
ta cicha kobieta, krępuje ją nieco i zarazem
ośmiela. Nasze patrzenie. Zastanawianie się,
co takiego sztuka i czy naprawdę et in arcadia
ego? In arcadia w śmietnikach pod domem, in
arcadia w zatęchłych kawiarniach, gdzie wle-
wają sobie do ust sens istnienia, in arcadia
w garsonierach, z grymasem odrazy do daw-
no opuszczonej kochanki. Milczysz i wolno ci,
a powietrze przepuszcza żal i rozpacz, które
wnikają w ciebie. Osmoza. Czystość serca,
przezroczystość duszy. Tu wszystko ciemne.
Anita Ekberg miała tak duże płuca, aktorka
z teatru wypukłe usta. Znów one na scenie.
Usta. W miejsce Neapolu wstawmy Brooklyn.
Inne miejsce, ta sama dziewczyna. Nowe roz-
danie. Nosimy w sobie rzadko ujawnianą
przed kimś krawędź. I zastanawiamy się, czy

pierwsza miłość czy ostatnia? Stara czy iskrząco młoda? Eros czy Tanatos? Losowo wybrane. Ferwor, łydki naprężone, twarze miękkie, już rozlane po drugiej butelce. Czerwony pokój czy hangar, już nie wiesz. Tam nie ma słowa o sztuce. Bliskie kadrowanie, sztuczne raje, nie znajdziesz tu ciemnych winogron ani zapewnień o wiecznej miłości. Dwa łoża w lustrze to już cztery, milczysz

i wolno ci, a powietrze paruje z rozgrzanej postaci. Zblazowani, pozbawieni złudzeń, dekadencji w swej świadomości, pesymistyczni w swym oglądzie bytu człowieka, skażonego pierwotnie i ostatecznie niepoprawnego. Egzystencjalne kalectwo, tu, teraz w XVII wieku i dwudziestoleciu międzywojennym. I ja nie lubię erotyzmu w kinie. I dziwne to było, i czułem, że złe. Przestałem

ją obserwować. Tego za wiele. Zbyt dużo wzruszeń, to prowadzi do drgań. Niepotrzebnie. Chcę się budzić każdego dnia właśnie w tym miejscu. Nie wspominać Joanny i matki, ojca nie pamiętać. Nawet być sobą, ale bez nich. Proszę o siłę na ostateczne decyzje.

● Karolina Szczypek

Dialogi dżentelmenów

1. Gotowana kukurydza

- No to będę chodził w czarnym i milczał.
- Że co mówisz?
- Że na czarno i nie powiem ani słowa.
- Po co?
- Ponieważ to potęguje ciekawość. Wzmaga zainteresowanie.
- Co, czerń?
- Czerń, podobno. Tak prawi moja siostra. Że to buduje atmosferę niedostępności.
- A milczenie?
- Milczenie, wiadomo, ciekawi.
- Ciekawi i męczy. I nie daje spokoju.
- Tak, męczy. Milczenie męczy. Tego, który milczy, czasem męczy. Słuchającego, chcącego coś usłyszeć – intryguje.
- Nie lubisz mówić o pisaniu?
- W ogóle nie lubię już chyba mówić. Chociaż przez lata uważałem się za człowieka werbalnego, realizującego się poprzez rozmowę. To teraz nie lubię już mówić. Zresztą pisać też nie lubię.
- To po co pisesz? Każe ci ktoś?
- Jakby to powiedział Figi, „istnieje taka możliwość...”
- Jaki znowu Figi?
- Pierwszy, znaczy jedyny w ogóle, mąż Kaśki. Były już.
- I co z nim?
- Dzieci się go zapytały, czy ma w końcu, czy nie ma dzieci...
- Jak to, dzieci pytały, czy ma dzieci, czy nie ma? Bez sensu!
- Z sensem. Dzieci Figiego i Kaśki, dwójka, chłopiec i dziewczynka, one słyszały, Kaśka też coś słyszała, że Przemek dorobił się jeszcze jednej sztuki. Na boku. Z inną dziewczyną. I ciekawość je trawiła. Kaśka już wiedziała na pewno. I dzieci postanowiły, wiesz, rozumiesz, oficjalnie. Wiesz, tato, chcielibyśmy z tobą porozmawiać, o coś zapytać.
- I co, zapytały? Te dzieciaki?
- Tak, zapytały Figiego oficjalnie: usiadły wcześniej w salonie nowo wybudowanego na kredyt domu, zaprosiły ojca i zapytały. Czy to prawda, że jest jeszcze inne, jeszcze jedno, kolejne dziecko?
- I co on? Przyznał się?
- Powiedział tylko: istnieje taka możliwość...
- Dyplomatycznie!
- Tak, widać, postarał się. Okazuje się, że on w ogóle zaczął się starać, kiedy między nim a Kaśką zaczęło się na poważnie pieprzyć. Zaczął się starać, w domu, z dziećmi.
- I tak się starał, że wystarał się o jeszcze jedno, kolejne?
- Tak.

- A co z tą czernią, z tym milczeniem?
- Będę się nosił na czarno. I więcej milczał. To może spowodować kolejne przełamanie.
- Kolejne przełamanie? O co ci chodzi?
- Czasem następuje przełamanie, nie wiadomo skąd, pojawienie się czasem innego człowieka, czasem myśl, a czasem samo z siebie. Przełamanie, po którym wszystko wydaje się już całkiem inne.
- I ty czekasz na coś takiego, na takie przełamanie?
- Istnieje taka możliwość, że czekam.
- I co wtedy, jak ono nadejdzie?
- Ono nadejdzie. W końcu nadejdzie, nie wiadomo tylko, kiedy. I nie ma co czekać. Wiadomo – nadejdzie, jak będzie czas.
- Więc czekasz, a ono może nigdy nie nadejść.
- Nie ma tak, żeby nie nadeszło. Należy tylko zrobić miejsce, należy dużo o tym mówić, o uczuciach, o sobie.
- Ale ty zamierzasz mówić mniej! To jak to jest?
- Będę mówił mniej, nosił się na czarno, czekał, albo nie czekał na przełamanie, które nadejdzie, albo długo nie będzie nadchodzić, ale w końcu nadejdzie. Nie ma innego wyjścia... To tak jak podczas meczu tenisa, musi być jakieś przełamanie, jeśli nie wielkie, spektakularne przełamanie, to chociaż jakiś chociażby najmniejszy mini-break.

2. Naleśniki z serem

- Leżałem na plaży...
- Poszedłeś w końcu? Przemogłeś się? Niemoc przezwyciężyłeś?
- Tak, ale nie chcę o tym mówić. Nie działa się, nie zadziało się nic ciekawego..
- Nic? Kompletnie nic?
- Tak, znaczy nic. Poszedłem i leżałem. W odpowiedniej odległości od innych już leżących się położyłem. Zielony duży ręcznik rozłożyłem i leżałem. Ciężko mi o tym mówić, ale powiem tylko, że leżałem tam i walczyłem, żeby jakoś to przetrwać, żeby czas przyspieszył, żeby wszystko się jakoś już ułożyło. Samo... Zamknąłem oczy, leżałem i słuchałem, słyszałem. Po piachu, między gęsto usianymi parawanami i ręcznikami, chodził gość i reklamował, krzycząc: gotowana kukurydza, popcorn. Gotowana kukurydza, popcorn.
- Tylko jego było słychać?
- Nie, jeszcze szum fal i wiatru. Morskiego, znad morza. I jeszcze pojedyncze uszczyptnięcia śmiechów, zaśmiań, strzępy dialogów, po piachu, i szum. Ten szum. I gotowana kukurydza, popcorn. Gotowana kukurydza, popcorn. A przede mną otoczony parawanem „Przystanek

Żywiec” stał rozbity namiot. Czerwono-niebieski namiot, tak w połowie plaży, tak w połowie, od porośniętych zielskiem wydym, do morza, do wody, na tym piachu, namiot, i wiesz, co? Z tego namiotu wydobywał się głos. Wiesz, co było słychać z tego namiotu?

- Nie, skąd mogę wiedzieć, nie mam pojęcia, jakieś jęki, kochali się? Kłótnia?

- Nie. Kiedy tamten kluczył i wrzeszczał monotonicznie, gotowana kukurydza, popcorn, gotowana kukurydza, popcorn, z tego namiotu wydobywało się ciche, dużo cichsze niż gotowana kukurydza, popcorn, gotowana kukurydza, popcorn, ciche, ale też tubalne, wypowiedane jednostajnym, pełnym znudzenia i marketingowej rutyny tonem: naleśniki z serem. Gość z koszem na plecach krzychał: gotowana kukurydza popcorn, gotowana kukurydza popcorn, a z namiotu, z czerwono-niebieskiego namiotu typu Igloo, rozbitego na środku plaży, otoczonego połowicznie białym parawanem „Przystanek Żywiec”, wydobywało się tubalne, basowe: naleśniki z serem. Naleśniki z serem. Naleśniki z serem.

- Kto mówił?

- Nie wiem, nikt nigdy z tego namiotu nie wyszedł. Obok, owszem, jakieś życie, ale sam namiot, zagadka.

3. Plaża jakby za duża

- Musisz być bardzo samotnym człowiekiem. Nie lubisz pewnie mówić o swojej samotności?

- W ogóle wolę nie mówić, ale czasem, jak już mówię, mogę mówić pasjami, zdarza się, że mam gadane.

- To co z tą samotnością?

- Jak to co? Nic. Jest, i czasem jej nie ma. Kiedy jej nie ma, tęskni się za nią, kiedy jest, chce się do człowieka, z człowiekiem.

- Nie ma tak, żeby było dobrze, jak należy?

- Owszem, bywa tak, że jest dobrze, jak należy. Ale rzadko, raczej jest inaczej, nie tak, nie to.

- Nie lubisz rozmawiać przez telefon, przecież to czasem może w samotności pomóc! Są tacy, co namiętnie rozmawiają przez telefon, by samotność zagłuszyć.

- Nie lubię, wolę już się męczyć sam. Przez telefon zazwyczaj wychodzi

nie tak, to znaczy czasem trzeba, czasem ma się ochotę, ale lepiej nie.

- Mówisz jak osoba zgorzkniała.

- Tak? Szkoda. Nie chciałbym, ale może masz rację, te lata mogły mnie popsuć, jakiś mechanizm nie działa już tak, jak powinien, wkraść się jakiś błąd, jakieś poważniejsze nieporozumienie.

- Ale ogólnie, wolisz być sam, czy wolałbyś razem, z innymi?

- We dwoje potrafi być naprawdę dobrze. Tak miało być, tak bywało, to czasem trwało, ale wiesz, rozumiesz przecież, banal, nic nie trwa wiecznie...

- Niektórzy trwają! I mają się dobrze, nie narzekają, a już na pewno, nie mówią, nie brzmią jak ludzie zgorzkniali.

- Tak, są podobno tacy szczęśliwcy. I to dobrze. To jest dobre. Ale ciężko o tym rozmawiać, kiedy człowiek sam na piachu wśród milionów kolorowych, roześmianych, różnojęzycznych, opalonych, leżących a czasem nawet podskakujących. Może się jeszcze kiedyś podskoczyć...?

- Na plaży tyle ludzi, a ty sam, mówisz?

- Sam. I ta plaża jakby za duża, że ludzi za dużo, to wiadomo, ale i plaża, i za długa, i za duża, znaczy szeroka taka. A środkiem droga, trakt, deptak, że niby tamtędy chodzić należy. A i tam potrafią podskakiwać, dziewczyny grają w siatkę i w nogę, sam widziałem, dobrze odbijała... Robiła tak zwane kapki, jedną nogą, ale z wprawą, rutyniara, dobra była, a facet jej tylko kopnął potem, ona tu grała pierwsze skrzypce...

- Nawet plaża dla ciebie za duża? Bo jesteś sam...

- Plaża jak plaża, ale do plaży jest naprawdę daleko. Za daleko, nie lubię tak daleko. Wolałbym blisko. Jest jeden, jedyny plus tego, że daleko; że zajmuje to czas. To pójdzie tam, na tę plażę. Się idzie, się idzie jak inni, tyle, że sam, inni przeważnie w grupkach. I to zajmuje czas. To przemieszczenie. Ale już na rowerach, czasem sami. Lubię rowery.

- Jak lubisz rowery, to nie będziemy o nich rozmawiać.

- Rowery lubię, rozmawiać o nich niekoniecznie. Miałem jednego Peugeota, utonął w odmętach, nie chcę tego już wspominać, tyle razy... Całe życie upłynie mi na wspomnianiu tego, co było, zamiast na wymyślaniu tego, co będzie, albo nie będzie...

● Wojtek Dziewit

Trochę się martwię

- Trochę się martwię. Wie pani. No bo to prawie jak wyrok.

- Niech pani nie przesadza. Są różne stopnie takich zaburzeń i u pani ono akurat jest dość płytkie.

- Wszystko we mnie jest płytkie. Nawet zaburzenia. Nawet zaburzyć się nie potrafię tak do końca. Na sto procent. W ogóle, niczego nie kończę. Ciągłe coś zaczynam. O, na przykład książki. Non stop wypożyczam. Czytam najwyżej pierwszą stronę. Ale przetrzymuję namiętnie. Ostatnio dobudowali nowe skrzydło przy bibliotece i jestem pewna, że to ja je ufundowałam z tych wszystkich kar. Nie umiem wypełnić PIT-u. Płacę u dentysty. Codziennie diagnozuję sobie nowego raka w Google'u.

- Nie wypełniła pani PIT-u w tym roku?

- No wypełniłam, ale już po czasie. To chyba jest przestępstwo. Rozmawia pani z przestępcą.

- Rozumiem, że pani odczuwa duży niepokój w związku z tą sytuacją. Podjęła pani jakieś kroki, żeby to naprawić?

- No. Jeszcze jakie. Zadzwońłam zapytać, co zrobić w tej sytuacji. Baba mi mówi: złożyc czynny żal. Czynny żal? No to ja widzę już, jak leżę krzyżem w Drugim Urzędzie Skarbowym w Opolu i krzyczę, że mea culpa, że żałuję bardzo, a tu proszę. To jest autentyczna nazwa pisma urzędowego, które trzeba złożyć i oni wtedy podobno wybaczą.

- Pani złożyła to pismo?

- Złożyłam.

- Czyli załatwiła pani swoją sprawę. Pani mówi o dużym potencjale. O sile sprawczej. Umie pani rozwiązywać swoje problemy i naprawiać popełnione błędy.

- Ja mówię tylko o tym, że złożyłam durne pismo w urządzie.

- Widzę, że pani znów się unieważnia. Pani sobie odbiera prawo do sukcesu. Do potencji.

- Kiedy ja już nie mogę słuchać o swoim potencjale. O tym, że taki ładny dzień i że wszystko będzie dobrze, że głowa do góry, bo inni mają gorzej, że w dupie się przewraca, bo Murzynek w Nigerii nie ma co jeść, a ja narzekam. Że młoda taka, ładna, dwie nogi ma i dwie ręce, no kurwa! I o tym ile bym mogła,

gdybym chciała, bo za komuny to w ogóle nic się nie dało, a teraz świat taki otwarty i się da, tylko problem jest taki, że ja wcale nie chcę. Że na wszystko już jest za późno, że był taki czas, kiedy mogłam, ale go przespałam i już wszystko skończone.

- Pani ma dwadzieścia jeden lat. A mówi jak bardzo stary człowiek.

- Ja się urodziłam stara. Jak Benjamin Button. Ale mnie by nie grał Brad Pitt, tylko Danko Koźlarz ze Stawiszyna, przewodnicząca kółka teatralnego w Miejskim Domu Kultury, Wice-miss Powiatu Kaliskiego.

- Mhm. Rozumiem, że pani ma takie poczucie, że jest pani gorsza. Pani mówi też o ciągłym porównywaniu się do innych.

- Jasne, że się porównuję. Ostatnio

poszłam do koleżanki, ona z facetem właśnie wzięła kredyt na mieszkanie i kupili sobie elektryczną kuchenkę i bazylię w doniczce i polakierowali stół. A mnie się to wydaje wszystko tak odległe, trochę tak, jakbym oglądała jakiś program o dziwnych obyczajach innych kultur. I ja czekam, ale żaden Cejrowski się nie pojawia, nie tłumaczy. Trzeba się domyślić samemu. Rodzice tej Agaty, tej koleżanki, kupili jej odkurzacz, na nową drogę życia. Jakiś wypasiony odkurzacz, co to sam jeździ, sprząta pod łóżkiem, a i dzieci pewnie przewinie, jak trzeba. I ja sobie myślę, no tak, a moi kupili mi ostatnio książkę. Poradnik. „Bądź przebojowy! Trening asertywności.” Nie działa.

Trochę mnie wkurza, właściwie, to bardzo

mnie wkurza, że pani tak mało mówi. Że ja się produkuję, że już żyła na czole mi pulsuje od pół godziny, a pani tak mało mówi. Albo wcale.

- Rozumiem, że pani się czuje niechciana, niesłuchana. Nieważna.

- Często się tak czuję, że mogłoby mnie właściwie nie być, że co by to zmieniło, starzec dalej obwiązywałby pomidory, a dzieci rodziłyby się różowe; że to nie ma żadnego znaczenia, a ludzie są ze mną, bo muszą, a nie, bo chcą, że...

- Na tym musimy się zatrzymać. Skończył nam się czas.

● Zuzanna Buchowska

Osiem

Osiem godzin w drodze. Chłopczyk osiem kilo plus vat. Osiem półlitrowych butelek wody, bo upał. Pociąg na dworcze z ośmiominutowym opóźnieniem. Osiem przedziałów. Ruszamy.

Przedział 1. Eugeniusz. Wieku nieustalonego. Głos narodu

- Jest przecież dziesięć przedziałów, ale dwa te chuje pozamykały. Konfidenty, masony. Żydy jebane. Klika, sitwa jedna.

- Panie Gienku, po co te nerwy. W końcu jedziemy. I miejscówki numerowane. Nie trzeba przez okno wskakiwać i Rejtanem kłaść się na fotelach.

- Oszczędzają na prawdziwych Polakach, a agorowe świny się pławią w tych pendolinach. Żydy, masony, konfidenty. Boga w sercu nie mają. Na zatracenie prowadzą. Zbawcę nam ukrzyżowali. A teraz nas krzyżują za życia w tych śmierdzących pociągach.

- A wie pan, panie Gienku, że będąc precyzyjnym, to Jezus też był Żydem?

- Won mi stąd zaraz. Pewnie z Izraela cię tu przystali. I brodę jaką ma. I jaki upasiony.

- Aj - waj - odpartem i zamknąłem drzwi.

Przedział 2. Wymordowany chłopak z obwoźnego Warszawy

- Panie kierowniku, ja bym prosił trochę wrzątku dla dziecka. Proszę policzyć jakoś tak po swojemu.

- To będzie 50 groszy. Tylko za kubek, bo mnie szef potem rozlicza. Kapitalista jeden. Przecież dziecku nie będę wrzątku żałował.

Dałem złotówkę.

Przedział 3. Zakonnica. Orionistka, czyli do ludzi. Wielka, rzepiasta, krzepka. Wraca z misji na Ukrainę

- Bo ja panu powiem, że na tej Ukrainie, w tych wszystkich małych

parafiach, to się dzieje różnie. Oni tam różne rzeczy robią, czasem nawet sieją zgorszenie! Jedna taka, pan pozwoli, że mocniej powiem, dziwka jak ja to mówię, tyle za księdzem latała, że aż nie wytrzymał i uległ. No ugiął się po prostu. Bo ja panu powiem - jak suka nie da, to i pies nie weźmie. No co pan powie?

- W sumie trudno się z siostrą nie zgodzić - Pokiwałem niepewnie głową.

- O to, to. Bo ja panu powiem, że te małżeństwa u prawosławnych księży to nic dobrego nie wnoszą. Kto to widział, ksiądz i ma żonę.

- A moim zdaniem, to dobrze - nie zgodziłem się tym razem. - Bo ja to jednak wolalbym księdza z żoną, co to przykładowie żyją, niż chłopaczka, który od proboszcza na skarpetki dostaje, kobiety nigdy w życiu nago nie widział, z żoną się nie pokłócił, a potem z ambony ex cathedra jakieś swoje mądrości wygłasza.

- Ex cathedra - zadumała się Bezimienna. - Widzę, że pan w świecie bywał. Szczęść Boże.

Przedział 4. Bufet. Małżeństwo z dwiema córkami

- To co, Turlusiu, może papryczki? - kobieta otwiera pudełko Tupperware'a numer jeden.

- Dziękuję, Dziabusi, już mam co jeść - mąż smętnie przeżuwa ogórka z pudełka numer dwa.

- A może, Turlusiu, ja ci trochę marcheweczki oskrobię, albo kompotu dam.

- Dziękuję, Dziabusi, niczego mi nie brakuje.

- Bo wiesz, Turlusiu, wzięłam tylko dwie wyciskarki do soku, a dziewczynki tak lubią. Może zamówimy trzecią i nam prześlą kurierem już do Świnoujścia?

Turluś spojrzał na mnie przez uchylone drzwi. Jego wzrok błagał - zabij mnie!

Przedział 5. Zażywna staruszka. Tiule, fioki

- Ja to na swoim gadaniu tak daleko zaszła. Jako dziecko ja kapustę stopami bosemi ubijała, a na starość ja po Nilu statkiem pływała. Ja zawsze grubiutka była. Bo jak w kryzysie gruby chudnie, to chudy zdechnie.

- Spotkała pani kiedyś godną siebie przeciwniczkę?

- Kochanieńki, pojawiłby się kiedyś na horyzoncie jakieś morwy, jedna z drugą. Ale tak po prawdzie, to ja by samą Hanke Bielickie przegadała.

- A co pani taka wystrojona, od razu na dancing się pani wybiera, czy jak?

- Niech nie gada tyle. Ja tu od gadania jestem. Wiśniówki się napije?

Przedział 6. Dresiwo płci obojga. Z Brajankiem

- Zdrowego masz dzieciaka?

- Zdrowego, dzięki Bogu.

- A widzisz, kurwa, to się cieszy. My tylko Brajanka możemy zabierać nad morze. Dżastinek został w domu z babcią. Nerki nie pracują. Jelita nie pracują. Dializy ma codziennie. I tę – jak jej tam – stomię. Ciesz się, kurwa, życiem, bo w życiu piękne są tylko chwile. Ciesz się, kurwa, życiem, bo nasz Dżastinek to ma przejebane.

Przedział 7. Zenon, rencista. Gastronom – filozof. Jedzie na turnus

- Się trochę przytyło ostatnio, co nie? – powiedział pan Zenek, który zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu. Po czym zaczął zdradzać mi swoją niezawodną metodę na smukłą sylwetkę. – Panie, bo ja to jem, jem, aż się najem. I jak się tak najem, to już nie jestem głodny.

- No ja też lubię jeść, co widać na załączonym obrazku.

- Panie, bo ja jak nie jestem głodny, to nie jem, a jak jestem głodny, to jem, jem, aż się najem.

- Gdyby to było takie proste.

- A, że się pochwalę, to mój syn na raz dwa kila kiełbasy zjeść potrafi.

- Panie Zenku, umie Pan mówić o czymś innym, niż o jedzeniu?

- No pewnie! Dwa tygodnie temu byłem na weselu. Tam to się dopiero najadłem.

Przedział 8. Państwo starsi wystrojeni jak stróż w Boże ciało. Wracają od Jaworowicz

- Panie, bo ta telewizja kłamie. Był pan kiedyś w telewizji?

- Raz brałem udział w teleturnieju. Wygrałem koszt słodczy, ale nie było emisji, więc nie przysłali.

- Panie, jak pani redaktor u nas na wiosce była, to w ogóle nas nie słuchała, tylko nam płakać kazała. Płakać, głupie ludzie – o, tak nam mówiła. A potem co w telewizji pokazała, to nic wspólnego z prawdą nie miało. Panie, bo my naszą córkę alkoholicką chcieli na prostą wyprowadzić, mieszkanie za służebność jej przepisali. Panie i ona w cug poszła. Chłopa jakiegoś poznała, on ją upił, zbałamucił i doprowadził do tego, że na niego wszystko przepisała. I ślad po niej wszelki zaginął. Kilku we wsi powiedział, że ją ubił. Panie, gdzie jej teraz szukać?

- Sprawdzajcie szpitale, kostnice, areszty, izby zatrzymań, wszystkie mopsy i monary.

- Tak nam też mówił pan mecenas u Jaworowicz. Gdyby my pana wcześniej spotkali, to by my do tej telewizji wcale nie jechali.

- Pan z Warszawy, tak?

- Powiedzmy.

- Proszę pozdrowić Czarka Pazurę. Jak pan jest z Warszawy, to musi pan go znać.

● Łukasz Żmijewski

Nagroda

Jeśli komuś się tak po prostu napisało – heroicznie, lirycznie, wzniosłe, to zawsze można przerobić, przepisać, przeredagować. Ale jeśli komuś te najważniejsze karty zawieruszyły się wśród papierów na stole? Jeśli kluczowe fragmenta upadły pod stół, gdy palce zaklejały już kopertę, poniesioną zaraz potem na chłapięcych tydkach prosto do skrzynki, jeśli palce wrzuciły kopertę zaadresowaną do wydawnictwa Z, a owa stronica wciąż, brzemienista w skutki, leżała pod stołem?

Józef Kowalski, *Pamiętnik z okresu dojrzewania*

Pomysł był prosty. Chodziło o to, żeby wcielić w życie program realizmu otrzewnego, zaproponowany swego czasu przez Artura

Belano. Program poetycki opisany potem w jego powieściach, program, o którym opowiadali mi z błyskiem, ale i z trwogą w oczach młodzi poeci języka hiszpańskiego, który nigdy nie urzeczywistnił się w żadnym opublikowanym wierszu. Po hiszpańsku brzmiało to o niebo lepiej: *realismo visceral*. O niebo? O piekło lepiej. Znajomi proponowali, żeby pójść po bandzie: bebehorealizm. Ale jest w tej nazwie jakiś fałsz, którego nie trawię. Idąc po łańskim tropie – *viscera*, szukałbym raczej czegoś równie związanego z bebeczami, ale jednocześnie subtelniejszego w wygłosie. Stąd otrzewna. Ale nie o tym.

Nie było tekstów. Pamiętam, lata temu, widziałem fragmenty spisane na kartkach wydartych z notesów, fragmenty tamtych

wielostronicowych wierszy-powieści, jak nazywał je Belano. Pamiętam małe, ciemne pokoje, w których leżeliśmy odurzeni słodkim dymem, a Lima recytował całymi godzinami, aż zapadaliśmy w gorące, niespokojne sny. Ale potem coś się stało, czy raczej nic się nie stało. Nie nastał czas odnowy meksykańskiej awangardy, a ja wróciłem na Stary Kontynent. Pamiętam, że później, ale dużo później, wpadły mi w ręce powieści, w których Belano opisał naszą klęskę (a może była to ich klęska, a może tylko jego?). Stąd pomysł – napisz to jeszcze raz, sam. Nigdy nie pisałem w takim tempie – cztery, czasem pięć wierszy dziennie, potem nocne

czytanie, krótki sen. Im bardziej byłem wykończony, tym lepiej pisałem, aż pisanie stało mi się niezbędne jak chleb i ulica za oknem. Różewicz i jego minimalistyczne wiersze o Holocauście to była dziecinna zabawa w kalambusy. Przeczytajcie bebehorealistyczny wiersz-powieść o Holocauście. Sto siedem wersów prawdy jak piasek w oczy.

Skąd konkurs? Każdy musi z czegoś żyć, nawet realista otrzewny. Rewolucja, którą miałem zamiar przeprowadzić i tak nie miała dokonać się w tym światku opartym na konkursach, nagrodach i wzajemnych adoracjach. Stąd konkurs. Ale wysłałem zgłoszenie chyba przede wszystkim po to, żeby mieć choć nikłą iluzję perspektyw materialnych na kilka następnych miesięcy. Nagrody. Chociaż wiedziałem – za taką

poezję nie dają nagród. Jakież było moje zdziwienie.

„W uznaniu odwagi stojącej za bezkompromisowym gestem formalnym...”

Pieprzeni formalści, jeszcze próbujecie, jeszcze?

„W uznaniu świadomości historycznej połączonej ze swego rodzaju dezynwolturą, które dostrzegamy w tej swoiście pojętej reprodukcji czystej formy wraz z pustym gestem obnażającym pustkę po witkacowskim imaginariu i koszarze wojny, totalitaryzmu wraz z ich logiką alienującą jednostkę ludzką”.

Historyzm, akademizm, marność, marność – mrucałem, pamiętam, jeszcze z uśmiechem na ustach.

„Doceniając bezwarunkowy sprzeciw wobec nihilistycznej logiki kapitalistycznej konsumpcji,

która pochłaniając każdą wartość artystyczną, przekształca ją w wartość rynkową, w część przemysłu rozrywkowego...”

Moralisci, pieprzeni, moralisci.

- Jury, etcetera – przeczytałem – przyznaje nagrodę główną pracy *Bez tytułu*.

Bez tytułu? Nie, nie pamiętałem, co właściwie im wysłałem. Musiałem zrobić to bez większego zastanowienia, po prostu na chybił trafił wybrałem któryś z wierszy-powieści. Nie dawało mi to spokoju. Bez tytułu? Odnalazłem maila ze zgłoszeniem. „Szanowni Państwo, itepe, itede, niniejszym zgłaszam swoją pracę, łączę pozdrowienia, R.”. Nie było załącznika. Sprawdziłem pięć razy. Zapomniałem o załączniku.

● Olek Trojanowski

Bar u Zośki

K: Dzień dobry, poproszę lanego żywca. Panowie, można się dosiąść?

X: Się robi, panie szanowny, coś mi się zdaje, że pan to chyba niotęjszy. Znaczy się, z innej parafii, znaczy, ja to w ogóle jestem tolerancyjny, wie pan.

K: Wprowadziłem się dwa dni temu. Mieszkam w bloku obok. Właśnie wracam ze spaceru po okolicy i postanowiłem tu wejść.

X: A w ogóle co sobie tak będziemy panować, Stefan jestem. U nas to powinno być tak, jak w Ameryce. Pełen luz i każdy sobie po imieniu. No, Zośka, kolejeczka dla pana kierownika, migiem! Ty młody jesteś, to jeszcze pewnie do Ameryki pojedziesz. Ja to już tylko w telewizji se oglądam.

K: Miło mi. Jestem Kacper.

Y: Słuchaj kolego, Ka... Ka.. no chuj z tym. Ja to nie mam pamięci do imion. Nie obrazisz się. Jakby ktoś cię zaczepiał albo coś takiego, mów śmiało, że znasz Janka Klimę. Kiedyś boks trenowałem. Do samej Kaliskiej możesz chodzić choćby i w nocy o północy i nic się nie bój. Mnie tu znają. Nie, żeby się chwalił, ale mam szacunek na mieście. Wiesz, jakoś dwadzieścia lat temu miało się tę twardą rączkę, teraz już została tylko złota. Bo ja to w domu sam wszystko naprawiam. I rurę ciekącą zrobię i kran. Żona nieboszczka to zawsze mówiła, że lepiej nie mogła trafić ze swoim ślubnym.

K: A wiecie, gdzie tu jest poczta? Nie mogę znaleźć, a często korzystam.

X: Co, pewnie do dziewczyny piszesz? Znamy to, znamy. Teraz latem, jak tak porozbierane chodzą, to człowiekowi się aż tak w środku ciepło robi, że aż by się... No, nieważne. Chuj z tym.

K: Nie, nie do dziewczyny. Jestem poetą, wysyłam wiersze na konkursy.

Y: Ooo! To jeszcze takiego żeśmy tu nie mieli. A to kolego znasz? W Szczercze... chrz... chrz... Nie, kurwa, nie dam rady. Ale wiesz, o co chodzi. Jakbyśmy się już nie spotkali, to wiedz, że ja cię szanuję! Zośka! Jakiś obrus byś chociaż położyła, a nie te ceraty po 5 złotych. Pan tu poetą jest, w wielkim świecie bywa, a ty mu piwo podajesz na tym gównie obesranym.

K: Zbieram się, miło było poznać.

X: Kolego, a jakieś drobne masz, żeby jutro o suchym pysku nie siedzieć? Jakbym ja miał, to byś głodny nie chodził. Jak chcesz, możemy wypić za twoje zdrowie. Co nie, Janek?

Y: Ma się rozumieć.

Brzęk monet, odgłos zamykanych drzwi, kurtyna.

● Kacper Płusa



Tajwanki dalej tańczą

Idziemy na przedstawienie. B. jest zdenerwowana. Bardzo chciała zdążyć na tańczące Tajwanki. Właściwie, to one nie były z Tajwanu, tylko z Niemiec. Nie jestem pewna. Nieważne. Przechodzimy przez dziurę w płocie. Wchodzimy do budynku z czerwonej cegły.

Tajwanki tańczą. Jedna z nich w czarnej koszulce i obcisłych legginsach. Druga ma na sobie płaszcz z folii oklejony gazetami. Chodzi za pierwszą z latarką i świeci na nią jak żywy reflektor.

Tajwanki dalej tańczą. W rzędzie ławek naprzeciwko zaskomlał czarny labrador. Chyba mu się nie podoba. No ale jak mają mu się podobać te wygibasy? L. i Z. wychodzą.

Tajwanki dalej tańczą. Są momenty, w których wygląda to ładnie. Jakaś kobieta w rzędzie za nami mówi: „Naogłądała się dziewczyna Piny Bausch, tylko teraz nie umie tego wykorzystać”. A. wychodzi na fajkę.

Tajwanki dalej tańczą. Teraz schowały się za przezroczystą folię zza której świecą na publiczność latarką. Wkurza mnie ten wszędobylski chaos. Nie mogą czegoś zrobić porządnie?

Tajwanki dalej tańczą. Znów słyszę skomlenie z rzędu ławek z naprzeciwka. Pani z czarnym psem wstaje. Myślę: „Nawet labrador nie wytrzymał”. Ja też już nie mogę. Wychodzę! A Tajwanki dalej tańczą.

Maria

Zapytałem Marii, czy jest w stanie oddać mi morze?

Morze, które nosi w spokojnych ramionach
życia marynarzy.

Głaskane czule przez burty ich statków,
oddycha krągłymi falami.

Nawet oni nie znają, tych gór ciemnozielonych,
po których stąpają nieświadomie, przez wszystkie pokłady.

Spytałem Marii czy jest w stanie oddać mi morze,
co karmi pod niebem ptaki,
a w głębi potwory otchłani.
Co nas karmi złudzeniem wspólnej przestrzeni,
nieokreślonej,
nieznoszącej zwierchnictwa
ani chmur, ani bogów
nad niebieskimi balkonami.

To morze okrutne,
co zawiesza pod sufitem horyzontów
podniebne miasta.
Więzi w zakrzywionej kuli serca
miliony istnień.
Tylko dla zabawy.

To morze,
czarny atrament,
co czasem w nas się wylewa.

To morze wzburzone mi oddaj,
przez które wiecznie za horyzont sięgasz.
Od którego drżysz w swych odmętach.
Burzysz się w głębi,
oddychasz szybciej,
kipisz,
rozbijasz się o skały.

Widziałem, jak w twoich oczach rosną fale.
Tego morza pragnę.

● Weronika Bukowska

Morze

I dopiero, kiedy stoję
po kolana w wodzie
(i po pępek w nocy),
rozłożywszy karimatę i śpiwór
na popielatym piasku,
zastanawiam się
jak to tutaj działa
przyływ – odpływ
przyływ.

Łapię te słabe sygnały,
które komunikują mnie
z jutrzejszym i wczorajszym dniem.
Jest noc.

Być może nie uda się zasnąć.
Jest noc i nic się nie dzieje. Nic się nie dzieje,
bez przerwy.

Rytuał odchodzenia

Już nas opuszczasz?
Ściągnij poszewki i prześcieradło.

Pozostaw to miejsce takim, jakim chciałbyś,
by zastali je inni.

Dokumenty, telefon oraz metalowe
przedmioty
umieść w plastikowym woreczku
o wymiarach nie większych niż 120 na 80 mm.

Kieruj się w stronę bramki.

K.

się puściła.

A mówiłem: wysoko.
Złap za piorunochron.

Rozkłada ręce.

Łapie równowagę
drobnymi ruchami,
cicho. Prawie
jak gdyby nigdy nic.

● Olek Trojanowski

W 2050 będziemy hodować ludzi na mięso

Pompon mówi, że ma taką wizję, że w 2050 będziemy hodować ludzi na mięso i wtedy to się wyrówna, ten rachunek sumienia, i może obudzą się nawet bogowie greccy i zabrzmi jakiś piorun i w egzystencjach zrobi nam się lżej. On mówi, że miasto jest wszystkożerne, że nikt nie szanuje już jedzenia chleba prosto z pieca, a ludzie są dla siebie przechodni, jak czasowniki i pokoje w mieszkaniach dla studentów. Tymczasem on chce być ważny, dla ludzi on chce być ważny i chce mieć kobietę, która go będzie kochać i szanować, kochać i szanować i całować punktowo jak obrazek święty.

A święty nie jest przecież Pompon, Pompon jest uzależniony od filmów porno oraz zupek chińskich i to nie jest tak, że on te filmy ogląda dla strojów i makijaży. Tylko pech chce, że on powiedział na nawet swojej matce, że on kobietę chce taką jak tamte i okazało się, że to nie jest matka, która wszystko rozumie, więc klasycznie dała mu w pysk.

Wtedy też Pompon postanowił, że popęlni swoje pierwsze samobójstwo, ale zabijać nie chciał się sam, nie wiedział, jak się można zabijać i czy to w ogóle ma sens. Natomiast to jest całkiem fajne, że jest internet, bo nikt już umierać nie musi samotnie. Pompon znalazł więc forum, tak zwaną grupę, 1641 wpisów o tym, jak ludzie zadają sobie śmierć. I nie było to łatwe przeżycie, bo oni przecież przeżyli, śmierć swoją przeżyli i wtedy się Pompon wycofał, bo to niekonsekwencja i niefart od losu, a ogólnie z deka siara, żeby nie umieć załatwić tak prostej sprawy, jak siebie. Pompon stwierdził, że nie pogodzi się z losem, jak mu nawet śmierć w życiu nie wydzie, więc próbować wolalby nie.

Pompon się jednak nie łamie i mówi, że jak się nie ma szczęścia w kartach, to ma się szczęście w zabawach typu wpierdol i pech chciał, że jak szedł wczoraj parkiem do domu, to chłopcy już czekali i nie byli to chłopcy z placu bronii, choć bronią ich były diaby w oczach i zaciśnięte maksymalnie pięści. Ale jak Pompon powiedział, że ma na imię Krzysztof, mieszka z matką i pochodzi z Wałbrzycha, to chłopcy uronili najprawdziwszą łzę. Tylko wiadomo, jak to jest w przyrodzie, kiedy taki wpierdol już wiś w powietrzu. Więc żeby nie było, że mu odpuszczają, to oni wymyślili mu test.

Test polegał na tym, że akurat chcieli zrobić włam, ale włam robią na opuszczone fabryki i kręć tam zawsze film. I wtedy też mieli kręcić tam film, mieli już nawet spakowane przez kobiety kanapki, tylko nawalił im Zjeb. To jest kamearyzta, a ogólnie to alkoholik, prawnicowiec i ćpun. Więc oni mówią, że Pompon został oddelegowany, aby obudzić go, ocucić i nie, że człowiek człowiekowi wilkiem, a zombie zombie zombie, ale że on ma tu być w pół godziny i chuj. Na co Pompon, że pokażcie drogę, to pójdzie. Że odnajdzie tę jego hacjendę, a do odnalezienia jej posłuży mu miejscowa ludność oraz system typu GPS.

I tak dotarł Pompon do miejsca dziwnego, albowiem istniało tam ogrodzenie, ale nie istniał dom. Oczom jego ukazał się za to wóz czy też przyczepa, ale rocznika takiego, że wiesz, że na

żaden kemping się już nie wybierze, a on razem z nią. Zdziwiło go więc to ogrodzenie, ale nie przywiązał do tego większej wagi, bo nie było czasu bawić się w węzeł gordyjski czy choćby szkolne kokardy. Pompon wszedł, choć na furtce wisiał komunikat, żeby raczej nie.

Pompon miał zresztą przeczucie, że czał się tu jakieś zło, bo od zawsze miał intuicję i wyczucie sytuacji też. Ale wszedł i nic się nie stało, żaden deus ex machina ani happy end. Więc Pompon przeszedł jeszcze pięć czy dziesięć metrów, spojrzał w prawo, spojrzał w lewo, potem splunął za siebie, a potem się podrapał, przekraczając granicę rozporka. Pewien, że teraz jest już bezpieczny, stanął bohatersko u drzwi. I wtedy pojawił się on, to jest Fidel, to jest myśliwski pies.

I jak nie zacznie Pompon spierdalać, i to najszybciej na świecie, ale matematyka jest przecież bezlitosna. Taki pies biegnie szybciej niż człowiek, a już na pewno bliżej ma do Pompona, niż Pompon za bramę posesji. I nie pomaga mu, że w podstawówce biegał maratony i że miejsca miał zawsze na podium, na nic te jego biegi, te rozgrzewki tuż przed i izotoniki tuż po, na nic godziny treningów i nieprzespane noce, spędzone nad masturbacją i poradnikami, jak żyć.

Otóż ten pies dogonił go. Tego nie było trudno przewidzieć, taka jest kolej rzeczy i doprawdy nie trzeba kończyć kierunku zarządzanie i marketing, żeby domyślić się, że tak musiało się stać. Niepotrzebne tu horoskopy, rady sąsiadki czy wróżbita Maciej, wróżący z krutek sudoku. To są oczywistości, jak dwa razy dwa albo pięć, kiedy ktoś zabije ci krzesłem.

No i upierdolił go wtedy ten Fidel, w dodatku od dupy strony. Pompon ledwo wyszedł z tego cało, to znaczy spodnie miał naderwane, skórę na dupie rozdarta i jeszcze zastrzyk przeciw tęczowi aplikowany prosto do ciała, bez znieczulenia i gumowej kaczuszki, ściskanej w rękę celem ukojenia nerwów. Bo tak trafił Pompon na SOR.

Myślicie: teraz wszystko będzie już dobrze, a tymczasem opatruje go miła Elizka. Elizka mówi, jak tu trafiła, bo ogólnie, to jest z korporacji, ale lubi oglądać pasma cierpień, więc dorabia na dyżurach w polskim NFZ. A w ogóle to tamta praca nie jest wcale dla niej, bo ta korporacja działa jak szwajcarski zegarek, a ona nie jest śrubą, tylko raczej gwóźdź. I pomyślała tak już pierwszego dnia i zadziało to jak przepowiednia, co to sama się spełnia, bo ona przecież wiedziała. Wiedziała i od rana miała skurcze żołądka, to jest taki stan, kiedy normalny człowiek nie może już nic przelknąć, a ona przelknęłaby nawet wąż strażacki i strażaka na dokładkę też.

I to nie było mądre, bo najadła się wtedy

bardzo i poszła do tych ludzi, którzy się witali i zapoznawali i jedli, trzymając w ręce poncz. A dookoła były stoły, na stołach białe obrusy, na obrusach białe półmiski, a na półmiskach wszystkiego w chuj, bo zastaw się, a postaw się, zwłaszcza, jak to impreza integracyjna i powitania owieczek, spisanych na rzeź. Elizka zagryzła jednak zęby, cała była już pełna, przecież po to się w domu najadła, żeby nie tu, nie przy nich, nie przy obcych, których będzie widywała teraz całymi dniami i mówiła im w windzie "cześć".

Ale co ona teraz widzi, widzi stół, stoliczku nakryj się, i on się nakrywa, nakrywają go kelnerki chude i wysokie, których twarze obleczone są w najnowszy puder marki L'Oreal, a zgrabne dupy wciśnięte w czarne spódniczki w rozmiarze XXS. Elizka wpada w lekkie popłoch, sama też jest w spódniczce, na górę założyła bluzeczkę z wycięciem na plecach, to jest takim, z którego cellulit może krzyczeć: hello! Ale co to, nagle wnoszą coś na sam środek, a nie jest to na szczęście świnia z jabłkiem w pysku, o nie, tego firma wolalaby uniknąć, bo co na to ludzie wege, to grozi kryzysem i masowym strajkiem. No więc na środku staje fontanna, dwie fontanny, trzy fontanny, wszystkie tak samo pełne czekolady, możesz wybrać słodką, gorzką, klasyczną deserową, możesz w nich maczać truskawki, maliny, banany, palców w niej nie możesz maczać, bo jak inni zobaczą, to nie zechcą już jeść. Ale ta fontanna, tego było za wiele, Elizka musiała podejść, musiała zjeść, jedna kulka melona, druga kulka melona, trzecia kulka melona, paw.

A przecież nie wybiła jeszcze północ, nie było odliczania, szampan nie lał się jeszcze strumieniami, naprawdę, Elizka, to nie był czas na takie show. Ja wiem, że teraz to modne mówić, że ktoś rzyga tęczę, ale, na litość boską, nie do fontanny, pełnej czekolady. Ktoś z sali rzuca, niby ze śmiechem, że nie dolewaj, bo wszystkiego nie zjemy. No ale stało się, zamiast konfetti poleciał na gości soczysty paw, kilka osób dostało rykoszetem, a kilka porzygało się w solidarnym geście. I teraz, teraz można to poczuć, można wyobrazić sobie tę przykrą jakże scenę, można się poczuć jak w kinie 5D, gdzie twoje zmysły kołysane są przez efekty specjalne. Specjalnej troski wymaga teraz Elizka, coś czuję, że nie obejdzie się bez leków uspokajających i dwóch lat psychoterapii, taka to będzie trauma. A przecież już, już, układała sobie życie, dostała własne biurko, własny telefon i tabliczkę z własnym imieniem i nawet ktoś jej paprotkę przy oknie postawił, bo to pobudza kreatywność i cieszy oko, a tu taka rzecz.

I Pompon mówi, że to było to. Że to mu wystarczyło, ta historia, że to go ujęło, że złapało go za serce i że zobaczył w niej kobietę, w której chciałby ulokować swoje emocje i całą resztę też. I że nawet przestałby z tym samobójstwem, ożenił się, zakochał się, wziął kredyt na auto i dom, ale przecież w 2050 będziemy hodować ludzi na mięso i jemu serce pęknie, jak ktoś kiedyś przyjdzie i mu tę Elizkę zje.

TORPEDA LUDU

Biuletyn redaguje zespół

uczestników sekcji literackiej

Redaktor prowadząca: Joanna Pachla

Współpraca: Darek Foks

Ilustracje: Piotr Depta

Projekt okładki: Piotr Depta

Opracowanie graficzne i skład: Mateusz Beżnic

● Joanna Pachla